

Wprawdzie istnieje obyczaj, że o młodych aktorach pisze się (oficjalnie) nie wcześniej, aniżeli z okazji ich przedstawień dyplomatycznych, ale — w tym przypadku — można chyba odstąpić i od tego obyczaju, i od sztywnie stosowanych schematów.

Cóż to za przypadek? Po pierwsze — spektakl, jaki zaprezentowali studenci III roku Wydziału Aktorskiego krakowskiej PWST, pod kierunkiem pedagogicznym Haliny Kwiatkowskiej, w zasadzie nie rości sobie pretensji do roli sprawdzianu aktorstwa tych, jeszcze nadal studiujących młodych ludzi. Nie jest to więc, typowy dla uczelni, popis absolwentów w jednej z wybranych na publiczny egzamin, sztuk teatralnych. Po drugie — przyszli aktorzy wystąpili z montażem piosenek. Piosenki zaś mają to do siebie, że śpiewają je zarówno amatorzy, jak i zawodowcy — i różnice w poziomie wykonania bynajmniej nie bywają aż tak wielkie, żeby z miejsca rozpoznać kto tu ma więcej do powiedzenia (wyspiewania). Ponieważ cały naród lubi śpiewać, a sprzyja temu nadmiar wszelkiej maści festiwali, nikt już właściwie nie wie, co to piosenka zawodowa, co zaś — amatorska.

Na tym tle próby uśpienia i nieniania młodzieży aktorskiej zasługują na uznanie. Artysta dramatyczny spotyka się bowiem na scenie z coraz większą ilością przedstawień, w których niebagatelną rolę odgrywa muzyka, śpiew, melorecytacje, parlanda — a często i nie mniejsza od estradowej sprawność wokalna, bardzo bliska teatrom muzycznym. Nierzadko inscenizacje sztuk świadomie zdążają ku pastiszom opery, nie wspominając o stylu kabaretowym spektakli, czy o potężnych wstawkach najróżniejszych songów i kwestii śpiewanych niemal w każdej, branej na warsztat sceniczny sztuce. W ogóle trudno sobie wyobrazić obecnie aktora, który w swej edukacji teatralnej mógłby pominąć podstawowe zasady wokalistyki. Jakże by występował w

takich przedstawieniach, jak *Boy — mędrzec*, *Kabaret*, *Dziś do ciebie przyjść nie mogę*, w *Karykaturach* czy choćby w *Nocy listopadowej*, którą Wajda do spółki z Koniecznym uoperowali ponad przeciętną miarę tzw. ilustracji muzyczno-wokalnej?

HALINA KWIATKOWSKA od wielu lat poddaje studentów Wydziału Aktorskiego PWST w Krakowie pomysłowemu egzaminom z zakresu piosenkowania. Są to całe montaże słowno-muzyczne, w których piosenka stanowi główną oś dramatyczną oraz temat

JERZY BOBER

RÓBMY COŚ

widowiska. A zarazem wspólną zabawę uczestników przedstawienia z publicznością. Ma bowiem salka i scena ćwiczebna PWST przy ul. Warszawskiej swój klimat bezpośredniości i kształtowania nastrojów w bliskim kontakcie aktora z widownią, dzięki brakowi przysłowiowego przedziału między wykonawcami a odbiorcami. Tu wszystko dzieje się bez sztucznych murów — niemal z udziałem widza, o krok zaledwie oddalonego od stopni sceny. Kiedyś — pamiętam — wystawiał Władysław Krzemiński na tej scenie *Księżniczkę Turandot*, opracowaną właśnie z absolwentami szkoły teatralnej. W niedługi czas potem przeniósł ową inscenizację do Teatru im. J. Słowackiego. Zastanawiałem się wówczas, dlaczego uroczę, pełne werwy przedstawienie straciło niemal cały wdzięk, a śpiewane kuplety zginęły w oddechach sceny i sali przy placu Ducha? I doszedłem do wniosku, że

wielka przestrzeń sceniczna, oddzielona rampą od publiczności, wyraźnie usztywniła atmosferę. Nie było kontaktu, nie było zabawy łączącej aktorów z widzami, owych bezpośrednich ogniw z łańcucha reakcji — pobudzających do kontynuowania wspólnej gry. Tak, jak w tym mini-teatrze szkolnym.

Myślę, że to bezpośrednie sprawdzanie się wśród publiczności, przerzucanie (wzajemne) wrażeń, a nawet komentarzy, okrzyków, śmiechu, braw i porozumiewawczych zmruczeń oczu — umowność dekoracji, młodzieńcza

TEATR

swoboda nawiązywania znajomości z obcymi, ale nie oddalonymi (jak w prawdziwym teatrze) słuchaczami — wszystkie te pozornie białe elementy wpływają na styl i temperaturę teatralnej zabawy.

TYM RAZEM Kwiatkowska wybrała jako temat spektaklu — piosenki studenckie naszego trzydziestolecia pt. *Róbmy coś*. Znalazły się tu utwory z kabaretów i teatryków studenckich — od *Bim-Bomu* do *Stodoły*, od *Piwnicy* do *Hybryd*, a wreszcie od *STS* do *Pod Budą*. Przemieszane, bez porządku chronologicznego — stworzyły jednak bardzo charakterystyczną całość nie tylko w sensie muzycznym, ale — przede wszystkim — ukazując satyryczne, moralne i liryczne nastroje, jakie zawsze przez 30 lat towarzyszyły piosenkom studenckim w poszukiwaniu sensu *róbmy coś*. A więc i z młodzieńczym zniecierpliwieniem, buntami, zaskakującymi doj-

rzałością refleksjami — oraz ironicznym przejawskawieniem swego (i dorosłego) życia. W trosce o to, żeby tytułowe *Róbmy coś*, nie zawierało jedynie posmaku żakowskich igrów; żeby było czymś odświeżającym w praktyce społecznej tych, którzy przestali zaliczać się już do młodzieży.

Myślę, że wywołanie takich wspomnień i nastrojów udało się Kwiatkowskiej oraz jej podopiecznym. Inscenizacja *Róbmy coś* oparta na prościutkich etiudach muzyczno-pantomimicznych, przywołująca obrazy z pogranicza baletu i ćwiczeń ruchowych (trykoty wykonawców), oparta na grze światła oraz bezpretensjonalnym podawaniu tekstów piosenek — przyczyniła się do wytworzenia „kontaktowej” atmosfery. To nic, że temu i owo, tej czy tamtej zabrakło jeszcze pełnego wyrazu aktorskiego; że królował raczej wdzięk amatorstwa (w dobrym tego słowa znaczeniu), że śpiew niekiedy był pozorowany dla podkreślenia liryki lub dowcipnej aluzji. Niemal każda scenka, podporządkowana grupowemu działaniu, była kompozycją tematyczną — szerszą w wymowie od aktorskich *zagrówek*. Spektakl udowodnił, że większość studentów PWST uzyskała niezbędną sprawność muzyczno-wokalną, dobre przygotowanie ruchowe (*Zofia Węciawówna*) i wcale niekiedy umiętności gry bez słów (*Mieczysław Grabka*). Nie było też rażących błędów dykcyjnych. W sumie można oczekiwać, że przyszli aktorzy dadzą sobie radę z podwyższonymi dziś wymaganiami w ich zawodzie, gdzie nie tylko trzeba mówić, wcielać się w postacie dramatyczne — ale i nie być głuchymi wobec muzyki i śpiewu. Nawet, gdy nie ma się tzw. absolutnego słuchu i głosu operowego. Po prostu, jeśli się wie, co i jak zinterpretować wokalnie na miarę własnych możliwości i bez cienia amatorszczyzny, czyli poślizgu w kierunku szmiry.

NO, WIEC *Róbmy coś* było tu objawem pocieszającym muzycznie w całokształcie edukacji aktorskiej. Układy muzyczne spektaklu przygotowała *Maria Lasocka*, zaś scenograficznie oparła go w czyste i proste formy dekoracji kulis-brył: *Elżbieta Kołaczowska*.